

Bezrobocie to dla rządu tylko efekt uboczny

Rozmowa z prof. Grzegorzem W Kołodko

Dziennik Trybuna, 1 maja 2013, s. 10-11

Dlaczego w Polsce jest za mało pracy?

Cóż, można by powiedzieć: chcieliście kapitalizmu, to macie! Wcześniej w Polsce panował ustrój, którego strukturalną cechą był niedobór rąk do pracy. Strukturalną i niezbywalną cechą ustroju kapitalistycznego jest zaś to, że towarzyszy mu bezrobocie – nawet w skandynawskich socjaldemokracjach. Nie da się go całkowicie wyeliminować ani w Szwecji, ani w Polsce. W naszym kraju ustrój socjalistyczny został odrzucony, także w wyniku wielkich protestów ludzi pracy. Gdyby jednak wtedy powiedzieć protestującym, że ich strajki przyczynią się do powstania systemu, w którym będzie 3 mln bezrobotnych, przypuszczam, że nie tylko nie daliby temu wiary, ale i szybko zaniechali demonstracji.

Bezrobocie bezrobociu nierówne. U nas jest aż dwa razy większe niż w Szwecji.

Trzeba starać się, by było jak najniższe, trwało jak najkrócej, a ci, których spotka to nieszczęście, mieli środki umożliwiające związanie końca z końcem. Nawet w trudnych czasach, takich jak obecne, bezrobocie może spadać, co pokazuje choćby przykład USA, najważniejszego kraju kapitalistycznej gospodarki rynkowej. Tam nikt jednak nie opowiadał głupot o zielonej wyspie, lecz próbowano, z różnym zresztą skutkiem, rozwiązywać problemy.

W Polsce niestety bezrobocie wciąż rośnie.

Rośnie, ponieważ nasza gospodarka, w obecnym kształcie, nie stwarza możliwości pracy dla wielu z tych, którzy chcieliby pracować. Wynika to i z jej strukturalnych słabości, i z marnej koniunktury gospodarczej, obejmującej nie tylko Polskę. Bezrobocie w naszym kraju częściowo jest spowodowane zmianami mikroekonomicznymi – znikają pewne gałęzie przemysłu i przedsiębiorstwa, które w warunkach otwarcia i międzynarodowej konkurencji nie potrafią sobie poradzić. Państwo ich nie wspomaga, bo jest to obce obecnemu systemowi gospodarczemu, a niekiedy formalnie niedopuszczalne, ze względu na obowiązujące Polskę unijne regulacje dotyczące pomocy publicznej.

Pod tym względem Unia jest chyba surowa?

Panują tu podwójne standardy. Jak trzeba było ratować niemiecki przemysł motoryzacyjny, to Niemcy nie pytali Brukseli, czy im wolno, tylko sięgnęli do kasy państwowej, by nie dopuścić do ograniczania produkcji i zwalniania ludzi. Gdy natomiast w Polsce ginął przemysł stoczniowy, bo rząd i NBP przyzwolili na przewartościowanie złotego – a przy cenie 3,20 zł za euro nawet najlepiej prowadzona stocznia nie mogła w sposób opłacalny budować statków – to Komisja Europejska uznała naszą pomoc dla stoczni za nielegalną. W rezultacie stocznie upadły, produkcję zwinięto, a pracownicy poszli na bruk.

Co należy zatem robić, by zwiększyć zatrudnienie w Polsce?

To wymaga głębokich zmian strukturalnych i instytucjonalnych w gospodarce. Trzeba inwestycji, działań sprzyjających koniunkturze – a niekiedy zmiany kwalifikacji u tych, którzy pracy szukają, ich przeniesienia się w inne miejsce (choć to trudne z powodów finansowych, logistycznych, kulturowych). Ludzie szukają zwykle pracy tam, gdzie ją stracili – albo za granicą. Migracja wewnątrz kraju wciąż ma ograniczony zakres. Bezrobocie w Polsce byłoby dużo wyższe, gdyby nie emigracja zarobkowa. Trzeba też w sposób odmienny niż dotychczas, i w innej sekwencji, redukować wydatki publiczne.

Czyli jak?

Mówiąc najkrócej, wymagają one racjonalizacji, jedne trzeba przyciąć, inne zwiększać. Cztery lata temu, widząc uciekający czas i marnowane szanse, w liście otwartym do premiera Tuska proponowałem kontrolowane zwiększenie nakładów budżetowych państwa. Powinny one sprzyjać wzrostowi zaangażowania krajowej bazy wytwórczej i wywoływać efekt mnożnikowy – czyli każdy zainwestowany złoty byłby odzyskiwany z czasem z naddatkiem dzięki większemu popytowi na towary produkowane w Polsce. Chodziło m. in. o dokapitalizowanie Banku Gospodarstwa Krajowego i Korporacji Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych, co służyłoby zwiększaniu akcji kredytowej dla małych i średnich przedsiębiorstw oraz wspomaganie naszej ekspansji eksportowej. A także o przekazanie dodatkowych środków samorządom terytorialnym, z przeznaczeniem na inwestycje infrastrukturalne, zwłaszcza drogi, kanalizację i oczyszczalnie ścieków.

Nie wiadomo, czy przedsiębiorcy korzystaliby z tych kredytów. Deklarują raczej niechęć do inwestowania.

Nie zamierzają inwestować, bo nie mają możliwości wykorzystania już istniejących mocy wytwórczych. Polska gospodarka kręci się na jakieś 80 procent swego potencjału. Można więc zwiększać produkcję i zatrudnienie bez większych inwestycji, pod warunkiem lepszej koniunktury. Koniunktura zewnętrzna od nas zasadniczo nie zależy, ale krajową możemy stymulować za pomocą odpowiednich działań budżetowych rządu i polityki pieniężnej banku centralnego. Dziś jednak rząd koncentruje się w większym stopniu na cięciu wydatków, bez zwracania dostatecznej uwagi na poziom zatrudnienia i dynamikę produkcji. W rezultacie i tak deficyt budżetowy rośnie, miast spadać. Podczas gdy do obniżania się bezrobocia potrzebujemy czteroprocentowego wzrostu PKB, w tym roku wzrośnie on minimalnie, poniżej prognozy odczuwalności społecznej.

Kiedy i jak mogłoby dojść do 4-procentowej dynamiki PKB?

Taki wzrost mógłby nastąpić i w tym roku, gdybyśmy prowadzili politykę nakręcania zagregowanego popytu państwa, producentów i gospodarstw domowych, gdyby niższymi stopami procentowymi przedsiębiorcy byli skłaniani do inwestowania, co automatycznie zwiększałoby aktywność zawodową ludności. Dzięki temu można byłoby uruchamiać efekty mnożnikowe, które z kolei zapewniłyby wzrost zatrudnienia w przyszłości. Tak się jednak nie stanie, w tym roku tempo wzrostu PKB wyniesie około 1 proc., w przyszłym poniżej 2 proc. Bezrobocie będzie rosnąć, a rząd będzie zwałać odpowiedzialność na kryzys światowy, zamiast na kryzys własnej polityki gospodarczej.

Myślę, że członkowie rządu chcieliby mieć wzrost PKB na poziomie 4 proc. i mniejsze bezrobocie. Łatwiej by im się rządziło.

Chcieliby, ale nie są w stanie tego osiągnąć – ze względu na brak umiejętności i rozmaite uwarunkowania polityczne, ideologiczne, psychologiczne. A niektórzy wcale by nie chcieli, bo mają na uwadze inne cele. Nie interesuje ich wzrost gospodarczy i zatrudnienie, lecz zyski z kapitału. Bezrobocie dotyczy tych, którzy są bezrobotni oraz ich bliskich. Opłacalność kapitału dotyczy zaś tych, którzy go mają. Z ich punktu widzenia zyski z kapitału mają być jak najwyższe, co często kłóci się z wydatkami na wynagrodzenia. Dla obecnego rządu bezrobocie to tylko efekt uboczny, gdyż przedkłada on ponad aktywizację zawodową ludności zmniejszanie deficytu budżetowego, chociaż i tego nie potrafi skutecznie zrobić. W tym roku nie tylko bezrobocie będzie większe niż zakładane, ale i deficyt finansów publicznych znacznie przekroczy wielkość uchwaloną w budżecie. Pod rządami PO – odwrotnie niż w latach „Strategii dla Polski”, 1994-97, czy „Programu Naprawy Finansów Rzeczypospolitej” dekadę temu – co powinno spadać, rośnie, a co rosnąć – przede wszystkim zatrudnienie – spada.

Co więc dla niego jest ważne?

Najważniejsze jest utrzymanie możliwie niskiego deficytu budżetowego – także kosztem wydatków, które mogłyby sprzyjać ożywieniu koniunktury i podniesieniu poziomu zatrudnienia. Reszta się mniej liczy. Preferencją obecnego rządu z pewnością nie jest zwiększenie poziomu zatrudnienia. Nie jest tym także zainteresowany NBP, który troszczy się głównie o to, że nie może trafić w cel inflacyjny, który sam sobie nakreśla. W USA konstytucyjnym obowiązkiem Fed – tamtejszego banku centralnego – jest troska zarówno o stabilność cen, jak i o wysoki poziom zatrudnienia oraz dobrą koniunkturę. My nie potrafiliśmy wpisać takiego zadania ani do konstytucji, ani do ustawy o NBP. Trzeba to pilnie zmienić.

Czy pilnowanie niskiego poziomu inflacji nie jest istotne?

Dziś stoimy w Polsce przed dylematem: czy można zgodzić się na pewne przyśpieszenie inflacji i przejściowe zwiększenie deficytu budżetowego po to, by mieć niższy poziom bezrobocia i wyższe zatrudnienie. Polityka realizowana przez obecny rząd odpowiada: nie. W USA, Niemczech, Wielkiej Brytanii, Francji, w państwach skandynawskich i wielu innych, odpowiedziano, że tak. Inflacja obecnie nie stanowi istotnego zagrożenia i nie jej tłumieniu, ale ożywianiu gospodarki powinna być podporządkowana zarówno polityka fiskalna rządu, jak i pieniężna NBP.

Pamiętam, jak ponad cztery lata temu mówił Pan, że bestię neoliberalizmu trzeba dobić. No i co?

Niestety, nie dobito jej ani u nas, ani na świecie. Cały czas bryka i fika, mimo że kompletnie kompromituje się w oczach ludzi uczciwych i roztropnych. To neoliberalizm doprowadził do obecnego kryzysu, który doskwiera również w Polsce; nie mamy jeszcze recesji, ale kryzys trwa od kilku lat. By dobić neoliberalizm, trzeba jednak zaproponować coś lepszego, zamiast tylko werbalnie potępiać tę dewiację gospodarki rynkowej, która polega na celowym osłabianiu państwa, by poprzez rozregulowanie rynków finansowych i redystrybucję budżetową sprzyjać wzbogacaniu się nielicznych kosztem większości. Neoliberalizm to wielkie oszustwo naszych czasów, to także współautor narastania masowego bezrobocia.

A niskie podatki nie poprawiają sytuacji gospodarczej?

To zależy; na pewno nie zawsze, nie wszędzie, nie bezwarunkowo. Najczęściej nie poprawiają, a przyczyniają się do większych nierówności dochodowych i konfliktują społeczeństwo. Załóżmy, że ktoś z dochodem 1 miliona złotych dochodu rocznego zapłacił 100 tys. podatku więcej (podatki są zatem wyższe) i jednocześnie została podniesiona kwota wolna od podatku w taki sposób, że tysiąc ludzi ubogich będzie mieć o 100 zł więcej dochodu do dyspozycji. Wielkość zagregowanego popytu zostaje taka sama – u bogatych o 100 tysięcy mniej, u biednych o tyleż więcej), ale zmienia się jego struktura. Ci ludzie, ponieważ są ubożsi, przeznaczą swe 100 zł przede wszystkim na podstawowe dobra i usługi wytwarzane w kraju. Dzięki temu, że wzrośnie popyt na te dobra, wzrośnie ich produkcja, a do tego potrzebne jest zwiększenie zatrudnienia. Ten zaś, komu zostałoby 900 tysięcy do dyspozycji, nadal będzie bogaty i nie będzie przenosił się do Rosji jak Depardieu... Taki właśnie, pro wzrostowy, byłby efekt zmiany struktury podatków i wydatków poprzez umiarkowane podniesienia podatku dla zamożnych przy równoczesnym zmniejszeniu go dla uboższych. Neoliberalizm – a także rząd PO – zmierza w przeciwnym kierunku. Zbyt niskie podatki poprawiają sytuację materialną bogatych kosztem większości; widać to gołym okiem choćby w USA. Przy okazji pozbawiają państwa środków, które mogłyby zostać skierowane na tworzenie warunków dla rozkwitu prywatnej przedsiębiorczości i aktywizację zawodową ludności.

Dlaczego więc nie podejmujemy takich działań fiskalnych w Polsce?

Dlatego że potrzeba do tego państwa sprawnego, wolnego od korupcji, niezbiurokratyzowanego, skutecznego – czyli nie takiego jakie jest pod obecną władzą. Dlatego że wymaga to wyższego poziomu spójności społecznej. Takie ożywcze i społecznie nośne działania byłyby sprzeczne z poglądami nadwiślańskich neoliberalów, niektórych tzw. znanych ekonomistów oraz z interesem tych, którzy nie chcą tracić wspomnianych przykładowych stu tysięcy. Oni mogą sobie pozwolić na skuteczne przekonywanie, sponsorowanie niektórych instytucji, uczelni i wydziałów, dawanie reklam do niektórych gazet. Polscy neoliberalowie nie chcą przyznać, że już dwa razy – po latach 1989-93 i 1998- 2001 – trzeba było wyprowadzać Polskę z zapaści gospodarczej, w jaką ją wtrącili swą polityką. Dziś po raz trzeci zmiatają w kierunku stagnacji gospodarczej, której towarzyszy i narastanie bezrobocia, i zwiększanie się napięć budżetowych. Nie tędy droga.

Jakimi jeszcze sposobami można odwrócić tę tendencję?

W nowej książce „Dokąd zmierza świat. Ekonomia polityczna przyszłości” proponuję odrzucenie zarówno doktryny i praktyki neoliberalnej, jak i państwowego kapitalizmu i pójście drogą, którą określam jako nowy pragmatyzm. To koncepcja polityki gospodarczej, która pokazuje, jak równocześnie sprzyjać i łączyć rozkwit prywatnej przedsiębiorczości oraz pogłębianie spójności społecznej. Jest to możliwe nie tylko w bogatych krajach nordyckich, gdzie od lat sprawdza się społeczna gospodarka rynkowa, lecz i w niektórych dopiero emancypujących się gospodarkach, jak w Brazylii, Turcji, Malezji. Trzeba też rozważyć – w dalszej perspektywie – dzielenie się pracą tak, by starczało jej dla większej grupy ludzi. W przyszłości możliwe będzie wydłużenie weekendu do trzech dni lub skracanie dziennego czasu pracy do sześciu czy siedmiu godzin; pozwalać na to będzie dalszy wzrost wydajności pracy. Odchodzić można od nadgodzin i nie zatrudniać dziesięciu osób na dwanaście godzin, lecz piętnaście na osiem. Nie będzie to proste, zwłaszcza że może powodować przejściowy spadek zarobków, ale jest to możliwe, zwłaszcza w krajach o relatywnie wyższym poziomie rozwoju. Polska do nich jeszcze nie należy, ale z czasem do tego dojdziemy. By wszakże stało się to w miarę szybko, potrzebna jest nowa strategia dla Polski.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Andrzej Dryszel